

Pazerny wąsacz znad Wisły

14 lutego 2014

Język polskich elit, mediów, klasy politycznej i społeczeństwa pełen jest pogardy, agresji i chamstwa. Debata przemienia się w pyskówkę pełną epitetów i ma charakter wykluczający oraz deprecjonujący. Na emigracji ten dyskurs, wyrastający z pedagogiki wstydu, jeszcze się zaostrza.

Mohery, lemingi, słoiki, wieśniaki, robole, drechy, pisiory, dziady, buce, wąsacze, nieudacznicy, roszczeniowcy, wózkowe, solidaruchy, biurwy, magistrowie na zmywaku – pogardliwe, deprecjonujące epitety z rynsztoka i podwórkowego slangu zagnieździły się w centrum polskiej debaty publicznej. Tym językiem posługują się elity polityczne i kulturalne. Z lubością powtarzają je dziennikarze i publicyści. Stosuje je młodzież, klasa robotnicza i średnia. Jadem plują emigranci i polonijna prasa, a internet zamienia się w ocean chamstwa. Każda grupa społeczna wytwarza swój własny przemysł pogardy, taśmowo produkując obelgi. Stosowana z premedytacją od początku lat 1990. przez liderów opinii „pedagogika wstydu”, która miała nas wyprowadzić z przasnej, postkomunistycznej rzeczywistości ku demokratyczno-liberalnej dojrzałości w stylu zachodnim, wymknęła się spod establishmentowej kontroli.

NIEODROBIONA LEKCJA WSTYDU

Ta przemoc symboliczna w początkowej fazie transformacji była wygodnym narzędziem delegitymizacji całego szeregu postaw społecznych, tożsamości, aspiracji i idących za nimi żądań politycznych i ekonomicznych, stojących na drodze takiej wizji polskiej transformacji, jaką po 1989 r. zgodnie przyjęły polskie elity wszystkich partyjnych barw. Tak powstał nasz „ciemnogród”. Nasza „wiocha” i nasz wstyd z powodu tego, co „powiedzą na Zachodzie”.

Oświeceniowe, nie tylko polskie, elity taką strategię

stosowały wcześniej. Zamiast tłumaczyć, racjonalnie wyjaśniać i dyskutować na argumenty, wolały zawstydząć prosty lud, żeby zobaczył swoją ciemnotę i przeszedł na jasną, oświeconą stronę mocy. Disco polo, gierkowska meblościanka, schabowy, podrobione adidas, kurtki z ortalionu, tabloidy, opery mydlane, reality show, pudelki.pl – plebejskie rozrywki otrzymały stempel „wiochy”. Podobnie jak postawy etatystyczne czy żądania polityczne. Tym z kolei przyczepiono, chyba najbardziej idiotycznie używaną w polskim dyskursie, etykietę: „roszczeniowy”.

Eksperyment jednak się nie udał. Ciemny lud, zamiast się zawstydząć, przejął kpiarską, wykluczającą postawę i sam zaczął ją stosować. Dziś dresiarze pogardzają studentami, kibole piknikami, mohery lemingami, biurwy magistrami na zmywakach, emigranci bezrobotnymi. W konsekwencji „ciemnogród” zbudował swoją tożsamość na sprzeciwie. Zaakceptował, a nawet polubił swoją prząsność i ruszył do kontrofensywy. Wzajemne zrozumienie nie jest możliwe. Wykluczająca retoryka doprowadziła do erozji społecznego solidaryzmu.

Wszyscy jesteśmy dziś antagonistami depczącymi aspiracje, zachowania, rozrywki i poglądy odmienne od naszych. Zamiast dialogu jest bluzg. Zamiast dyskusji kpina. Zamiast argumentów szydera. Nastąpiło specyficzne znieczulenie na werbalną agresję. Paradoksalnie to poczucie „pańskości” czy też wyższości własnych podstaw nie zasadza się na przekonaniu o własnej wartości, lecz na uczuciu negatywnym – pogardzie żywionej wobec tych, którzy według naszej opinii znajdują się poniżej nas na drabinie społecznej, intelektualnej, ekonomicznej, zawodowej czy kulturowej. Tak jakbyśmy mentalnie wracali do XVI wieku, kiedy to polska szlachta rozpoczęła proces upodlania chłopów.

DEHUMANIZOWANIE NIEWOLNIKA

Szlachta zdobyła całkowitą władzę nad chłopstwem pod rządami Zygmunta Starego i zaczęła zmieniać status chłopca z feudalnego

poddanego na folwarcznego niewolnika. Wtedy to narodził się mit, który kultywujemy do dziś – szlachciców, potomków dzielnych Sarmatów – niezbędny do wykluczenia 70 proc. społeczeństwa z etnicznej wspólnoty. Aby utrzymać ten status i legitymizować chłopskie upodlenie, życie szlachcica stało się odtąd niekończącym się spektaklem mającym na celu przekonanie poddanych, że są istotami niższymi.

Jak napisał w eseju „Chata wuja chama” Arkadiusz Pacholski: „Perwersyjność stworzonego przez szlachtę układu społecznego spowodowała, że cham stał się niespodziewanie rewersem pana, racją jego bytu, ontologicznym niemal dopełnieniem. Pan, by czuć się panem, musiał się nieustannie przeglądać w lustrze chamskości, paść nią oczy, sycić swoją duszę jej podłym, a jednocześnie słodkim widokiem. Inaczej szybko stawał się swoim własnym cieniem, dematerializował się i karłał”. Reminiscencje szlacheckich postaw mamy zakodowane w naszym DNA po dziś dzień. I to nie tylko dlatego, że ze wszystkich sił staramy się oderwać od własnych chłopskich korzeni, wyszukując wśród przodków szlacheckich odprysków, bo przecież wieś jest naszą gorszą częścią, gorszym Polakiem, ciemnym alter ego, co oddaje uzus językowy – nazwanie kogoś wieśniakiem to ostatni stopień degradacji. Odwrót od tradycji, kompleks pochodzenia, odcięcie przasnej pępownicy to postawa zrozumiała i bardzo częsta.

Te mechanizmy można było zaobserwować od Japonii ery Meiji, przez Turcję Atatürka, po azjatyckie tygrysy. Pod wpływem i presją Ameryki Japończycy wstydliwie chowali swoje kimona i samurajskie miecze, a sto lat temu w Chinach – wówczas słabych, upokorzonych i podzielonych między zachodnie mocarstwa – Ruch Nowej Kultury przypuścił atak na tradycyjną konfucjańską kulturę, postrzegając ją jako wstydliwą, wymagającą modernizacji anachronizm. Procesom modernizacji i transformacji w krajach peryferyjnych, do jakich zalicza się Polska, z konieczności imitacji zawsze towarzyszyło poczucie wstydu pochodzenia.

Sarmackie DNA pojawia się gdzieś indziej. Podobnie jak

szlachta tuczemy własne ego, budujemy własną tożsamość i poczucie własnej wartości na deprecjonowaniu innych. Wywyższamy siebie poprzez pomniejszanie sąsiadów. Co ciekawe, na emigracji ten sarmatyzm bazujący na pogardzie jeszcze bardziej się uwidacznia.

MARIANY I MARIOLE

Za granicą do typowych podziałów przenoszonych z kraju (lemingi – pisiory, dresiarze – studenci itp.) dochodzą nowe. Masowy eksodus Polaków na Wyspy Brytyjskie zaskoczył niemal wszystkich. Po chwilowym osłupieniu spowodowanym olbrzymią skalą emigracji ruszyła jednak medialna ofensywa przedstawiająca emigrantów jako pionierów, forpocztę oraz symbol udanych przemian ustrojowych i społecznych w kraju. Siedem lat temu Polak wyjeżdżający do UK był „młodym, mobilnym, wykształconym, przedsiębiorczym i gotowym do ryzyka Europejczykiem”. Ten lukrowany obrazek stosunkowo szybko uległ zmianie, a proemigracyjny hurraoptymizm zaczął być tonowany. Jakby dla równowagi pojawiły się materiały, w których emigrantów przedstawiano jako nieudaczników pracujących znacznie poniżej swoich kwalifikacji, dla których pracowniczym rajem okazał się symboliczny zmywak w londyńskim pubie.

Ta schizofreniczna narracja dała paliwo do wzajemnych animozji. W momencie, gdy pierwsza fala Polaków w UK okrzepła, ustabilizowała swoją pozycję zawodową oraz mieszkaniową i uzyskała dostęp do internetu, a na brytyjskim rynku rozkwitły polonijne media, debata na temat emigracji wzniosła się na jeszcze wyższy, histeryczny poziom. Na każdy artykuł niekorzystnie przedstawiający emigrantów, opublikowany w Polsce, polonijne media odpowiadały pozytywnym obrazkiem Polaka, który na Wyspach osiągnął zawodowy sukces. A internetowe fora płonęły od emocji, epitetów i wzajemnej niechęci. Do licznych podziałów w polskim społeczeństwie dołączył kolejny – emigranci kontra ci, którzy zostali. I nie ma tu miejsca na najmniejsze niuanse. Jest albo biel, albo czerń. Sukces lub klapa. Europejskość lub degrengolada.

Niepokojąca jest jednak tendencja – i to zarówno wśród pism w kraju, jak i polonijnych mediów w UK – która narzuca narrację typu: praca w fabryce, na zmywaku czy jako sprzątacze to życiowa i zawodowa katastrofa. Deprecjonowanie ludzi, którzy wykonują prace fizyczne, to prawdziwa plaga ostatnich lat. Dominuje „kultura zwycięzców” spychająca na społeczny margines tych, którzy na brytyjskim rynku pracy nie osiągają wymarzonych przez polskich badaczy celów. Jeśli emigrant pracuje w biurze, jest kimś, jeśli wykonuje pracę fizyczną – określany jest mianem nieudacznika.

Przysłowiowy wąsaty Marian, który pracuje na budowie, słabo mówi po angielsku i żywi się zupkami w proszku, żeby jak najwięcej zaoszczędzić, oraz Mariola z Pierdziszewa – wieśniara pracująca w fabryce, całą pensję wydająca na opaleniznę i błyskotki, dla tych „lepszyc” emigrantów stają się symbolicznymi wizerunkami obciachu i powodem do wstydu. Spoglądanie z góry na ludzi, którzy nie są beneficjentami systemu i średnio sobie radzą, daje jednak kopa emigracyjnemu ego. Tak jak deprecjonowanie „ciapanych Pakoli”, pozwalające nam poczuć się „dobrym emigrantem”, który nie podkłada bomb. Do tego dochodzi jeszcze deprecjonowanie „leniwych Angoli”, którzy „żerują na państwie i żyją na zasiłkach”.

Jednak ogrzewanie się w ogniu wątpliwej wyższości, choć psychologicznie zrozumiałe, niekorzystnie wpływa na współżycie społeczne. Niszczy empatię i kolektywistyczne działania, wzmacniając postawy egoistyczne. W ten sposób podcinamy gałąź, na której wszyscy siedzimy. Bo jako zatomizowane jednostki, pogardzające „tymi gorszymi” nigdy nie będziemy potrafili wyartykułować żądań w obronie interesów grupowych. Zarówno w kraju, jak i w Wielkiej Brytanii.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)